

— Ohoho, taka odrobina, a już mówi — zdumiał się Norweg...

— Proszę pana... niech pan weźmie te sanki ze sobą... Pójdziemy do mamusi. —

Dwie gwiazdy, dwie cudne żrenice patrzyły w oczy Norwega. Coś dziwnego, jakaś moc niezrozumiała popcheła go ku zaprzęgowi sań. Wziął w rękę długie skórzane biczysko...

— Jazda pieski, jazda — mrucał cicho, a psy ruszyły z miejsca zaprząg ze zgrzytem.

— Jazda pieski, jazda — zachęcała dziecina, posadzona na sankach obok Anglika i Jankesa. Cisпали jak zabici.

A Norweg szedł powoli, jak we śnie (bo też było to we śnie) jednostajnym silnym krokiem, zaganiając psy biczyskiem. A wierne pieski biegły równiutkim kłusem tak długo, aż przebywszy śniegową płaszczyznę wstąpiły na grunt wyższy i weszły na szczyt niedużego wzniesienia. Tu zatrzymały się nagle.

— Tu już dobrze — usłyszał Norweg głos dziecka ze sanek. Obejrzał się, ale maleństwa nie ujrzał nigdzie.

— Gdzie jesteś, mój mały — pytał zatrzwożony... i przetań oczy.

Zbudził się i rozglądał dookoła otworzonemi szeroko ze zdumienia oczyma. Stał na niewielkim wzniesieniu, daleko od owego miejsca na płaszczyźnie, na którym zatrzymały się niedawno sanki zmęczonych podróżników.

— Tę ja we śnie nie wiedząc o tem, przeprowadziłem tu sanki — szepnął do siebie przerażony — a ci śpią jeszcze.

darmów do miasta. Przerażeni rozprószyliśmy się natychmiast. Po południu dowiedzieliśmy się, że przywiezieni do Tarnowa koledzy, tworzący niejako przednią straż naszego oddziału, zostali w magistracie na rozkaz burmistrza wychłostani i oddano ich pod nadzór rodzicom. W szkole jednak nie mieli z tego powodu żadnej przykrości, bo zaczęło grono profesorów udawało, że nic o całej sprawie tej nie wie.

Popołudniu przyszedł też do mnie Jan Kling z prośbą, abym wieczorem przybył znów do kapliczki gdzie miało się zejść kilku kolegów w celu porozumienia się co do dalszego postępowania.

Zeszło się kilkunastu i zaczęła się rozmowa cicha wśród ogólnego rozdrażnienia i żalu, że nasze tak piękne plany spełzły na niczem. Rozmaite były zdania, co teraz czynić trzeba, przeważało jednak to, że nie zdołaliśmy się mimo najgorliwszej chęci dostać za Wisłę, a nawet w razie udania się tego planu, moglibyśmy prędzej wpaść w ręce moskali, niż dostać się do obozu powstańców.

Pocziwie dzieci postanowiły jednak przynajmniej modlitwą przyjść w pomoc walczącym braciom i natychmiast pomodlić się za nich na cmentarzu. Ponieważ cmentarz o tej godzinie (a było już około 10 tej) był zamknięty, dostaliśmy się do niego przez rzeczkę Wątok i uklekliśmy pobożnie u stóp krzyża, wznoszącego się nad grobem jednego z poległych.

A z płaszczyzną śniegową, na której był przed chwilą, zaczęło się dziać coś strasznego. Nastąpił kataklizm natury, tak częsty na podbiegunowych lodach. Olbrzymia równina poczęła pękać w potworne rysy i szramy, z hukiem i traskiem przeraźliwym. W rysach tych i dziurach poczęła się ukazywać bulgocąca woda. Lunęła wszystkimi szczelinami i poczęła pędzić z szumem po śniegu. Morze wtargnęło straszliwą lawiną.

— Myśmy stali na płycie lodowej, która teraz rozleciała się. — uprzytomnił sobie Norweg, a strach zjeżył mu włosy na głowie.

Ogromna tafla lodowa, stanowiąca cichą przed chwilą równinę połamała się, jak stłuczone szkło. Spiętrzyły się gwałtownie barykady lodowe i wyskakując na chwilę ponad wodę, tonęły potem w rozhukanych nurtach. Niezrównanej wielkości kawały i bryły kry odłupane, jakby ciosem siekiery, odpływały powoli na pełne morze drżąc i chwiejąc się na wodach.

Na miejscu płaszczyzny hulało ogromne, wzburzone morze. Wędrowcy byli na samym jego brzegu, spokojni o swój los i bezpieczeństwo.

Norweg płakał jak bóbr... Dziwowali się obudzeni towarzysze cudownemu ocaleniu i dziękowali Panu...

— — — — —

A potem rozłożyli swoje narzędzia miernicze i przystąpili do pracy. Niespokojnie wpatrywał się w swoje przyrządy Anglik, czuła igła magnesowa latała jak opętana w jego drżących ze wzruszenia rękach. Wszyscy byli pogrążeni w głuchem milczeniu.

Po modlitwie, na wniosek jednego z uczniów, złożyli mi wszyscy obecni przysięgę, że gdziekolwiek będą się znajdować, choćby po wielu, wielu latach, przybędą na moje wezwanie, aby chwycić za broń, jeżeli tego ojczyzna potrzebować będzie. Ucałowawszy się, wśród płaczu, wróciliśmy do domów i do dalszej nauki.

Tak się skończyły dzieje wyprawy wojennej 11-to i 12-to letnich gimnazjalistów tarnowskich.

„Pogoń“, 20 I. 1907.

* * *

Chybione usiłowania młodzieży tarnowskiej w r. 1863, czyn nierozważny wprawdzie, ale szlachetny, świadczy o gorącym jej patriotyzmie. Niezwiązani żadną organizacją zebrali się wszyscy samorzutnie, a karnie z jedną myślą i jednym pragnieniem.

Tasama, wiecznie młoda i jasna niby jutrzienka idea walki o wolność, przyświecała zawsze młodzieży polskiej, prowadząc, jej zastępy w ciężką, a umiłowaną służbę. „Dzieci tarnowskie“ to poprzednicy bohaterów z pod Lwowa!

Dziś jednak po odzyskaniu wolności ojczyzna nie żąda od nas ofiary z życia, jeno rozumnej, a wytrwałej pracy i jak ci poprzednicy nasi na tych ławach szkolnych są dla nas wzorem poświęcenia, tak my stańmy się dla naszych młodszych kolegów i dla tych, którzy po nas w te mury przyjdą — wzorem pracy.